Nr. 5. We Lwowie dnia 4. lutego 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wyodrębnienie Galicji.

III.

Wpływ stosunku Galicji do Austrji na ekonomiczne położenie Galicji.

Jeżeli walki narodowościowe w Austrji wogóle, antagonizm czesko-niemiecki w szczególności wysuwa kwestję wyodrębnienia Galicji, to żądanie nasze zmiany naszego stosunku do Austrji jest uwarunkowane naszemi żywotnymi interesami.

Interesy ekonomiczne Galicji i poszczególnych grup ludności muszą, podług mnie, uczynić w prędszym lub dłuższym czasie tę kwestję nader popularną.

Jak wpływał na rozwój ekonomiczny Galicji jej stosunek do Austrji?

Przez długi czas Galicja była przeznaczoną na kolonję niemieckiego przemysłu i rząd zachowywał się wrogo względem wszystkiego, co mogło przyczynić się do ekonomicznego rozwoju kraju. O Towarzystwo kredytowe ziemskie kraj musiał starać się w ciągu kilkunastu lat od trzeciego do piątego dziesięciolecia. Charakterystyczne przykłady, ilustrujące stosunek rządu austrjackiego do przemysłu Galicji podaje Kalinka w pracy swej „Kraków i Galicja“. Gdy jeden obywatel założył zakład wyrobów bawełnianych w Nawsiu, rząd kazał wyroby posyłać do Wiednia dla ostemplowania. Na fabrykę sukien w Założcach, założoną w przeszłem dziesięcioleciu, nałożono podatek 10.000 zł. rocznie, co uniemożliwiło puszczenie w ruch fabryki, która nie była w stanie przynieść 10.000 zł. rocznego zysku“. Lecz mogą powiedzieć, że podobne fakty dziś mogą kursować, jako opowieści z dalekiej przeszłości, że w dobie obecnej nic podobnego nie mogło by się zdarzyć. Zapewne, że podobne wypadki dziś nie mogłyby się powtórzyć, lecz świadczą one o pewnych dążnościach, o niechęci Wiednia względem przemysłu Galicji, niechęci, która nie mogła zaniknąć z chwilą nadania konstytucji. Otóż posiadamy liczne świadectwa, potwierdzające na ze przypuszczenie. „Tradycja niechęci dla przemysłu galicyjskiego, utrzymała się do dziśdnia w biurach wiedeńskich — powiada p. T. Merunowicz. I teraz jeszcze bardzo niechętnie traktują tam każde usiłowanie, zmierzające do rozwoju przemysłu w Galicji“. Świadek należy do Koła polskiego, które zwykle jest stronnictwem rządowem, świadectwo to nie odpowiada polityce Koła polskiego, nie mamy więc powodu uważać go za stronne.

„Niczem nie wytłumaczone uprzedzenie rozstrzygających w ministerstwie skarbu czynników — powiada pr. Wł. Szajnocha — utrudniają wyzyskiwanie odpowiednie tych pokładów soli potasowych — które jak sylwin i kanit, znajdują się w Kałuszu i które mogły by się stać prawdziwym skarbem dla kraju (Przegl. polski 1899 r., w sierpniu 335 str.). Przed paru tygodniami na posiedzeniu klubu konserwatywnego wyrzekł sekretarz izby handlowej krakowskiej p. Benis: „O każde głupstwo, o każdą drobnostkę trzeba w ministerstwie handlu żebrać, jak o łaskę lub o jałmużnę. Zwyczajnie zresztą się jej nawet albo nie otrzymuje, albo tak późno, że konjunktura gospodarcza, o której wyzyskanie chodziło, dawno już minęła“.

P. Benis zwraca następnie uwagę na brak urzędników polaków w centralnych biurach ministerstwa handlu. Ale cóż może pomóc urzędnik polak w Wiedniu, który dbając o swą karjerę będzie musiał działać zgodnie z wymogami swej zwierzchności. Polak minister handlu też nie przynosiłby szczególnych korzyści dla przemysłu i handlu Galicji, gdyż, jako minister austrjacki musiał by on dbać przedewszystkiem o interesy Austrji, nie zaś Galicji. Cóż szczególnego uczynił dla Galicji minister Dunajewski, którego imię zapisało się w historji finansów Austrji? Przedłożenie w kwestji indemnizacji z 1882 r.,

za czasów ministerstwa Dunajewskiego było dla Galicji mniej korzystne, niż z siódmego dziesięciolecia, kiedy nie mieliśmy ministra „rodaka“.

Zmieniają się ministerstwa i większości rządowe w Austrji, Koło polskie popiera każdy rząd, od czasu do czasu prasa pisze: „rząd sprzyja krajowi“, ale dbałości o ekonomiczny rozwój Galicji, o przemysł galicyjski nie widzimy wcale. To też nam objaśnia samo istnienie następujących faktów: Kopalnie węgla na pruskim Śląsku korzystają bez wyjątku, z tańszej opłaty frachtu od kilometra drogi, niż węgiel krajowy. Sprowadzenie wagonu węgla do Przemyśla ze Szczakowy (kopalni Jaworzno i Jelenie), kosztuje 94 korony 60 gr., zaś z Mysłowic tylko 90 kor. 80 gr. Jaworznickie kopalnie węgla otrzymały w czwartym kwartale 1896 o cały tysiąc wagonów mniej, niż potrzebowały, a więc też pozbyły o 100.000 metrycznych centn. mniej swego węgla, jak mogły by pozbyć go w tym czasie, gdyby kopalniom tym zarząd kolei na czas dostarczył tych próżnych wagonów. Z tego uszczerbku w zbycie, doznawanego przez nasze kopalnie węgla, korzystają wyłącznie tylko pruskie kopalnie, gdyż zarządy kolei żelaznej, a w szczególności zarząd kolei północnej, przedewszystkiem dostarczają węgiel do pruskich stacji pogranicznych, wskutek czego galicyjskim kopalniom w Jaworznie i Sierczy dostaje się tylko reszta tych wagonów. (Ruch społeczny 1898 str. 231). „Połączony skarbowo-kolejowy fiskalizm doprowadza do tego, że np. sól z kopalni pruskiej z Inowrocławia, oddalonej od granicy austrjackiej o 500 klm. konkuruje około Krakowa z solą Wieliczki, podkopując byt tej kopalni. Takie same przykłady widzimy i na polu tak ważnego dla nas przemysłu gorzelniczego, oraz w całym szeregu innych spraw — powiada p. Benis w swem przemówieniu w klubie konserwatywnym w październiku 1899 r.

Pod względem rozwoju sieci kolejowych Galicja jest najbardziej pokrzywdzonym krajem w Austrji.

W 1867 r. Galicja posiadała 706 klm. dróg żelaznych, czyli 18.3% kolei w całem państwie.

W 1884 r. 12.8 pr. kolei austrjackich.

Obecnie długość galicyjskich torów wynosi 17.29 pr. kolei austrjackich, podczas gdy Galicja stanowi 26 pr. obszaru Austrji i liczy 28 pr. jej ludności.

Zwiększenie w ostatnich kilkunastu latach linij kolejowych było wywołane naprężeniem politycznych stosunków z Rosją. To też cały szereg linij kolejowych galicyjskich zbudowano ze względu na obronę granic Austrji ku północy i wschodowi, gdy tymczasem obrót dóbr w Galicji innych domagał by się szlaków.

Regulacja rzek galicyjskich to długa i smutna historja, w której występuje niechęć rządu i nieudolność naszej delegacji. Kwestja żeglugi parowej na Wiśle, tak ważna dla ekonomicznego rozwoju kraju, podniesiona za czasów republiki krakowskiej, nie została dotychczas uwzględnioną, pomimo starań krakowskiej izby handlowej.

Wobec zapoznawania żywotnych interesów Galicji przez rząd centralny, wobec tego, że Galicja jest połączona w jedno państwo z innemi bardziej pod względem ekonomicznym rozwiniętemi prowincjami, które ją ekonomicznie

SŁOŃCE.

O złote słońce! Słońce ludzkości!
Do ciebie ślę mój wzrok —
Tobie młodzieńcze sny i miłości,
Tobie poświęcam... ducha i kości
I zagrobowy mrok...

Wpatrzony w swoje bóle,
I w swoich łez zwierciadło,
I w stare, świetne króle,
I w przeszłość, wiekiem zbladłą —

Mój naród skostniał, zbladł...
Uwierzył w życie małe,
Tęczami rozwidniałe,
Sądząc, że przyszłość zgadł...

A blaski Twe za jasne mu,
A wschód mu nic nie wróży,
Jak: zachód-noc i wieki snu,
Zasypiań i podróży...

Orli ku Tobie lot,
Ludzkości!
W promieniach Twych błyskanie —
Krwawy umęczeń pot —
Na wieczny żar rzucanie
Ducha i kości —
Zowie mój naród grzechem...

A tyś, jak wschodni Bóg,
Narodom widnią dróg —
Słońce!...

Z kamiennych zaskorupień,
Jak boskie ognie-gońce,
Twój żar wybucha!
Z rozpadłych ciał i trupień
Podnosisz ducha!
Z tajni, co życia nie śni,
Budzisz potęgę pieśni,
Która po świata końce
Brzmi jednem wielkiem echem...

Serca płomienne Tobie nieść,
Rozlewne światła morze!

wyzyskują, brak ekonomicznego rozwoju w tym kraju jest rzeczą nader zrozumiałą.

W ciągu dziesięciolecia od 1882 — 1890 r. zmniejszyła się wartość produkcji solnej z 9.432,905 do 8.155,629 zł.; rudy ołowianej z 12.399 — z 1881 r. do 2.315 z 1890; produkcja cynku pozostała niemal bez zmiany w 1882 r. 1.922,700 zł., w 1891 r. 1.923,700 zł.

Od 1885 do 1890 r. ilość przedsiębiorstw w przemyśle drzewnym, skórzanym i tkackim znacznie się zmniejszyła, zmniejszenie to nastąpiło nie wskutek koncentracji, jak to ma miejsce w krajach rozwijających się ekonomicznie, ale z powodu upadku produkcji, z powodu konkurencji z odnośnemi zakładami innych krajów Austrji.

Galicji nie można nazwać krajem rolniczym, gdyż produkcja jej rolna jest nader nieznaczną; zachodnia produkcja na głowę po 113, wschodnia po 180 kilogramów jadalnego zboża na osobę. Wywozi wprawdzie ona pszenicę, uprawioną na polach wielkich właścicieli ziemskich, ale wywóz ten jest tylko skutkiem anormalnie małego spożycia w kraju. Galicja więc jest chyba krajem rolniczym z tego względu, że jej brak przemysłu. Centrów przemysłowych, miast wzrastających w skutek rozwoju ekonomicznego kraju, Galicja nie posiada. Galicja jest krajem-wsią, wyzyskiwaną przez miasta, poza jej obrębem stojące. Współczesne stosunki gospodarcze niemiecki ekonomista Kautsky charakteryzuje jako wyzysk wsi przez miasta.

Współczesny stosunek Galicji do Austrji skazuje ten kraj na wyzysk i nędzę. Jedyny punkt wyjścia — wyodrębnienie Galicji, uzyskanie dla niej takiego stosunku do Austrji, z jakiego korzystają Węgry.

Wład. Studnicki.

Pamiątki

Nareszcie! chwila spokoju!

Dziś Ś. Heleny — to dzień jej patrona, dwudzieste ósme święto w jej życiu. Od rana wszystkie zajęcia nie idą tak składnie, bo w głowie aż się roi od rozmaitych wspomnień, które dzień ten obudza. A tu jak na złość co chwila czegoś od niej potrzebują.

— Panno Heleno! proszę do pani.

— Panno Heleno! kucharz idzie do spiżarni.

— Panno Heleno! dzieci powstawały i czekają śniadania.

Biedna panna Helena wydążyć nie może wszystkiemu i tak cały dzień w kółko, aż do wieczora, kiedy z drżeniem w nogach i rękach rzuca

---

Nie hymny, brzmiące na Twą cześć,
W ohydnej dusz pokorze
Piać —
Ale, jak słońcu wstają zorze,
Z nadzieją przed świtaniem,
Powszechnem dusz zbrataniem
Wstać!!

Wierzę w jutrznię zarania,
Zwiastunkę nowych cudów —
Wierzę w dzień zmartwychwstania
I w połączenie ludów...

Do ciebie słońce, słońce ludzkości,
Z ufnością ślę mój wzrok —
Tobie poświęcam ducha i kości
I zagrobowy mrok...

Ty z oceanów cieśni
I z szerokości mórz,
Strojne płomieniem pieśni,
Złocone tęczą zórz,
Wstajesz... a bogi drzemią
Powagą jakąś mglistą —
Gdy płyniesz ponad ziemią
Kulą ognistą...

I widzę, jak w krysztale,
W twojem złocistem licu
Odbite ludzkie żale,
Jak blaski Twe w księżycu.

I czytam — niby w księdze,
Pisanej na padole —
I rany serc i nędze
I smutki i niedole...

I wszystkie łzy wylane
I straszne beznadzieje
I wielkie, krwią pisane,
Narodów epopeje....

Lecz krwawe, drogie słońce ludzkości,
Do ciebie ślę mój wzrok —
I święcę Tobie ducha i kości
I zagrobowy mrok...

Władysław Orkan.

(W maju 1897).

się na posłanie i jak drewno zasypia do dnia następnego.

Ani opamiętać się, ani zapłakać nawet niema kiedy — parę razy zdarzyło się tak, że rozżalona niesłusznemi wymówkami pani domu, zaczęła płakać »do poduszki«, ale w parę minut już spała, bo zmęczenie fizyczne wzięło górę nad cierpieniem moralnem. Chwała Bogu zresztą, że tyle jest pracy — bez niej jeszcze smutniej by było w tym obcym domu. O! jaki obcy!

Szczególniej pani taka zimna, surowa, wiecznie nie zadowolona ze wszystkiego. A ileż to już razy groziła wydaleniem, i byle coś nie pod humor zaraz mówi:

— Panna Helena myśli, że jedna taka na świecie — ja pannie Helenie płacę, a jak pannie Helenie źle. to można pójść poszukać, gdzie lepiej.

O! gdybyż miała gdzie pójść! Ale gdzie pójdzie? do kogo? ona taka sama na świecie.

Co prawda, po każdej takiej scenie pani przez jakiś czas bywa lepszą i stara się załagodzić wyrządzoną krzywdę, ale zawsze tak ciężko, tak bardzo ciężko znosić to wszystko i nie mieć uznania za swoją pracę.

Prawda też i to, że pani wiele można wybaczyć — o wszystkiem sama musi myśleć i nawet męzkie sprawy sama załatwia, bo pan jest gościem w domu. Ot i teraz znowu wyjechał gdzieś tam nad morze — podobno dla zdrowia, chociaż ludzie inaczej o tem mówią, a tymczasem biednej pani trudno i może dla tego tak często się irytuje i gniewa na wszystkich.

No ale teraz jest chwila wypoczynku — pani z dziećmi pojechała w sąsiedztwo i nie wróci aż późno wieczorem.

Tak rozmyślając, weszła panna Helena do »swego kąta« — jak nazywała malutki pokoik przy kuchni, który do niej wyłącznie należał. Pokoik ten był prawdopodobnie przerobionym z jakiegoś schowanka, bo ściany miał z okrąglaków, pomiędzy którymi sterczał powtykany pożółkły mech, a małe okienko umieszczone było tak wysoko, jak to zwykle bywy w spiżarkach, lub innych podobnych budynkach

Z prawej strony od wejścia pod ścianą stało białe drewniane łóżko, przykryte szydełkową kapą ręcznej roboty. Pod oknem był mały stolik, a na nim figurka porcelanowa Matki Boskiej, z dwoma bukiecikami polnych kwiatów po bokach, włóczkowa poduszeczka do igieł w kształcie ogórka i kilka innych drobnostek.

Przy drugiej ścianie, po samym jej środku znajdował się ogromny kufer, pomalowany na zielono, cały okuty żelazem, z dwiema dużemi kłódkami, wiszącemi z przodu. Z wierzchu był starannie przykryty starą wypłowiałą chustką z poobrywaną frendzlą.

Tutaj, w tym skromnym, maleńkim kąciku, panna Helena czuła się najlepiej. Tu w chwilach wolnych od pracy wracała myślą do przeszłości, albo płakała nad swą sierocą dolą. Tu miała schowane wszystkie pamiątki z lepszych czasów pamiątki te, a raczej przeglądanie i rozpatrywanie się w nich stanowiło największą osłodę w jej życiu, a ponieważ nie mogła robić tego często, było to zawsze świeżą i nigdy nie spowszedniałą dla niej przyjemnością.

Dziś miała prawo zajrzeć do tej skarbnicy, bo był to dzień podwójnie uroczysty w jej życiu. Po pierwsze dla tego, że to jej imieniny, a powtóre dziś właśnie otrzymała list z oświadczynami od pomocnika sekretarza sądu z pobliskiego miasteczka, pana Wasyla Buławki, z którym się dwa lata temu poznała, kiedy podczas Wielkanocy pojechała odwiedzić swoją znajomą.

Dawno już pan pomocnik okazywał jej wiele sympatji, a nawet kilka razy dość wyraźnie napomykał o swoich afektach, ale panna Helena chłodno przyjmowała te objawy czułości. I nic dziwnego — pan Buławka należał do społeczeństwa , które i mową i wiarą różniło się bardzo od tego środowiska, z którego wyszła i do którego od dziecka przywiązaną była panna Helena. Przez długi czas nie rozumiała jego mowy i raziły ją zwyczaje i sposób bycia pana Wasyla. Pomimo więc wdzięczności, jaką uczuwała za okazywaną jej sympatję, pomimo całego uznania dla jego cnót, bo był on człowiekiem statecznym i wcale nie głupim; pomimo tego nawet, że szare oczy pana pomocnika umiały patrzeć wcale ładnie, a kiedy mówił po polsku, stawał się nawet sympatycznym — pomimo to wszystko coś ją odpychało od niego, jakaś siła niepojęta stała na straży jej serca i chroniła od zguby. I ile razy uczuwała w sercu żywszą sympatję dla swego konkurenta, zawsze jakieś dawne, odległe wspomnienia bolały i męczyły ją tak długo, aż przed oczami stawał obraz nieboszczki matki, a w uszach zadźwięczały straszne słowa:

— Pamiętaj. że chyba po moim trupie...

Wtedy robiło się jej straszno, tak straszno i znowu stawała się zimną i złą dla pana Buławki.

I tak już rok trwa ta walka serdeczna, cały długi rok męki, ciężkiej pracy i upokorzeń bez końca.

Teraz jednak coraz mniej czuje w sobie tej odpornej siły, a wobec bezustannych przykrości, jakie jej daje ta sieroca tułaczka po świecie, coraz częściej staje w myśli obraz cichego, niezależnego życia u siebie i coraz bardziej zaciera się w myśli widmo przeszłości.

Powoli przyzwyczaiło się ucho do obcych dźwięków mowy pana Wasyla, a on sam, jako jedyny prawdziwie życzliwy człowiek w tem obcem otoczeniu, stawał się coraz sympatyczniejszym i bliższym. Pociągał zresztą tą swoją nieugiętą wytrwałością, z jaką dążył do celu.

Ot i dzisiaj - nikt z domowych nawet nie pomyślał o tem, że to jej imieniny, bo zresztą komu tam w głowie, czy ona ma wogóle jakie imię, byle robiła co, do niej należy — a on, pan

Buławka, wyszukał widocznie gdzieś w kalendarzu i niezrażony parokrotną odmową, przysłał jej przez umyślnego posłańca taki piękny bukiet z samych róż, złoty pierścionek z turkusem i czuły list na różowym papierze, w którym błaga ją o »szczęśliwą odpowiedź.«

Bukiet natychmiast odniosła do kaplicy i postawiła przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Za nic w świecie nie trzymałaby go u siebie, w swoim pokoju — po pierwsze dla tego, że to od kawalera, a powtóre, jakby zobaczyli, to by dopiero było kpin i dokuczania i od państwa i od służby. Ale list schowała i czytała go już parę razy. Taki dobry list, tak się starał jak mógł wyrazić jasno swoje myśli. Nie potrzebnie zresztą tak się męczył, ona dziś i je o mowę już doskonale rozumie i sama nawet używa jej czasem przy spotkaniu z nim co niedzieli, kiedy po sumie wstąpi do swojej znajomej. Trzeba już raz dać mu stanowczą odpowiedź i nie odrzucać dobrego losu, kiedy się zdarza.

Prawda, że nie kocha go tak bardzo, przykro to, że on nie swój — szczególniej ta wiara inna martwi ją bardzo i nawet co dzień na intencję jego nawrócenia odprawia koronkę do Przemienienia Pańskiego, ale cóż robić — czego będzie czekać, widać już tak sądzono. Pan Buławka jest człowiek poważny, nie pije, nie hula i przeszło rok cały tak czule do niej wzdycha, a przecież ona nie ma ani posagu, ani urody i do tego blisko trzydzieści lat. Zresztą jak wyjdzie za mąż, to go przerobi, zupełnie przerobi i będzie jakoś dobrze, a tak ciężko wycierać cudze kąty i nie mieć nikogo bliskiego.

Tak rozmyślała sobie panna Helena, kiedy wszedłszy do »swego kąta«, wyjęła z kieszeni list na różowym papierze i po raz dziesiąty przeczytała go z uwagą od początku do końca.

...Od czystego serca piszę to wszystko i proszę wierzyć, co ja lubię pannę Helenę gorąco i bardzo pragnę na niej ożenić się, a w znak zgody proszę przyjąć odemnie ten pierścień. Proszę przeproszenia za moją śmiałość i czekam szczęśliwej odpowiedzi.«

Temi słowami pan pomocnik zakończył swój długi list, pełen czułych wyrażeń.

— Tak, musi już raz postanowić i odpisać mu przychylnie — ale później trochę, jak odpocznie, a tymczasem skorzysta z chwili spokoju i zajrzy do swych ukochanych pamiątek — tak dawno już, jak ich nie widziała.

Panna Helena wstała, położyła list na stoliku, potem wyjęła z szufladki kilka kluczyków na stalowem kółku i podszedłszy do kufra, jednym z nich zaczęła otwierać wiszące przy nim kłódki.

Zawiasy skrzypnęły i potwornie wielkie, ciężkie wieko podniosło się do góry, a jednocześnie po pokoju rozszedł się zapach jabłek i suszonej mięty.

Całe wnętrze kufra wyklejone było obrazkami, powycinanemi z rozmaitych pism, przeważnie zaś kolorowanemi modami.

Panna Helena zdjęła ostrożnie kawałek białego perkalu, przykrywający wszystko zwierzchu, odeszła z nim pod drzwi i strzepnąwszy parę razy, starannie zwiesiła na poręczy łóżka. Potem z wyrazem jakiejś czci na twarzy przyklękła przed otwartym kufrem i zaczęła wyjmować zeń wszytko po kolei. Zaraz pod samym wierzchem leżała złożona starannie jedwabna suknia i takaż sama mantylka, używana tylko od wielkiej parady. Dalej była jeszcze jedna suknia wełniana, rozmaite chusteczki, szaliki, zapasowa bielizna, a nawet, zabytek lepszych czasów, pół sztuki tkackiego płótna, zachowane jeszcze przez nieboszczkę matkę »na wyprawę dla Helenki.«

Wszystko to wyjmowała ostrożnie panna Helena i ciężko wzdychając, kładła na łóżko. Wszystkie te rzeczy rozrzewniły ją bardzo, bo były przypomnieniem lepszej przeszłości — jedną małą paczkę, zawiniętą w cienką, różową bibułkę pocałowała nawet — był to czepeczak biały z liljowemi wstążkami, który matka nosiła kiedyś w dnie świąteczne.

Nie one jednak stanowiły główną moralną treść tego kufra — tak zwane »pamiątki« były schowane głęboko, na samem dnie w mahoniowej szkatułce, zwanej toaletką. Panna Helena wyjęła ją i ostrożnie, jak gdyby była szklaną postawiła na stole, potem przesunęła krzesło, usiadła na niem i wyszukawszy pomiędzy kluczykami najmniejszy, otworzyła mały zameczek. Wewnątrz szkatułka podzieloną była na kilka małych przegródek i jedną większą pośrodku.

Otworzywszy wieczko, panna Helena siedziała czas jakiś nieruchomie, w nabożnem skupieniu przeglądając się wnętrzu i nie śmiejąc zajrzeć dalej.

Wreszcie westchnęła i podniosła pokryweczkę pierwszej z brzegu przegródki.

Zaraz na wierzchu leżało białe kółko z kości słoniowej — było to kółeczko, które jej mały braciszek Staś nosił kiedyś na szyi na czerwonej tesiemce. Przed oczami panny Heleny stanął dom wiejski, otoczony dużym ogrodem, pamięta go doskonale, nawet rozkład pokoi i kolor obić na ścianach. Jakież to dawne, dawne czasy!... Pamięta, jak wesoło było tam zawsze i tak jakoś jasno, słonecznie.

— Czyżby i słońce teraz było bledsze — myśli sobie panna Helena. Biedny Staś! pamięta jak był chory — leżał taki maleńki w swojem łóżeczku. Nie pozwalali jej zbliżać się do niego, ale raz, kiedy nikt nie widział, zajrzała i przelękła się — taki był blady i takie dziwnie duże miał oczy. Pamięta potem, jak matka zemdlała, kiedy Stasia w trumience wynieśli z domu i postawili na wóz, przykryty dywanem.

Od chwili jego śmierci było coraz smutniej.

Grzebiąc dalej ręką w przegródkach, wydostała panna Helena żółty, świecący guzik.

Co to za guzik? a, już wie. To jeden z tych, którymi bawiła się zawsze, siedząc na kolanach

u dziadka. Takich guzików dziadek miał wiele przy swoim mundurze, bo służył w wojsku polskiem, a na każdym był orzeł i pogoń.

— Kochany, starusieńki dziaduś! Brał ją zwykle na kolana i musztrował jak chłopaka, albo opowiadał takie ładne rzeczy o dawnych dziejach. Lubił też bardzo mówić rozmaite wiersze — szególnie jedne często powtarzał, a taki przy tem miał dziwny głos, że ona bała się go wtedy.

Tu panna Helena zamyśliła się. Po chwili drgnęła, a twarz jej zlekka zarumieniła się:

Kto powiedział, że moskale
Są to bracia, nas, lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów...

zadźwięczały jej w uszach słowa słyszanego niegdyś wiersza.

— Boże! jakie to straszne! Moskale — i pan Wasyl też moskal, coby to dziadek na to powiedział — myślała z przerażeniem. Po chwili jednak starała się uspokoić, że przecież pan Buławka jest prawdziwym przyjacielem jej i wszystkich Polaków i że to zupełnie co innego i znowu zaczęła wyjmować z toaletki rozmaite przedmioty. Między innymi wydostała spory krzyżyk drewniany. Pocałowała go i znowu posmutniała. Krzyżyk ten — to świadek smutniejszych czasów. Matka kazała zrobić go z pnia uschniętego mirtu, który stał przy katafalku, kiedy ojciec umarł. Przypomniała sobie smutny dzień pogrzebu ojca i płacz matki, a potem wyjazd.

Miała już wtedy lat dwanaście, kiedy pewnego dnia przyjechali jacyś panowie i wiele żydów i sprzedali im wszystko — nietylko konie i bydło, ale nawet meble i sprzęty domowe. Najwięcej żałowała fortepjanu, przy którym matka grała i śpiewała tak często, w kilka dni potem wyjechały do pobliskiego miasteczka i tam zamieszkały w malutkim pokoiku z kuchnią. Tutaj dopiero zaczęło się ich ciężkie życie.

Teraz siedziała panna Helena ze smutnie spuszczoną głową, a w myśli jej przesuwały się obrazy z dawno minionej przeszłości. Zdaje jej się, że widzi tę ukochaną postać matki, z bladą chorowitą twarzą, po której łzy płyną, schyloną nad robotą dla zarobku — a ona siedzi obok na małym stołeczku i także coś szyje niewprawnymi palcami, byle biednej matce dopomódz.

Przypomina jej się ta smutna cisza, jaka panowała wówczas w pokoju — cisza przerywana tylko głośnem łkaniem matki, albo jej własnem pytaniem:

— Mamo, czy to tak, czy ja dobrze szyję?

Tu panna Helena westchnęła, raz jeszcze pocałowała trzymany w ręku krzyżyk, i odłożywszy go ostrożnie na bok, wyjęła ze szkatułki mały obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej i odwróciwszy go na drugą stronę przeczytała głośno:

— Ukochanej Helence z błogosławieństwem od matki — Kochaj Boga i ojczyznę.

Pannę Helenę ścisnęło coś koło serca i zapiekło coś w oczach.

Pospiesznym ruchem odłożyła obrazek i z przegródki wyjęła jakiś zwitek papieru, związany czarną wstążką. Widocznie była coraz więcej wzruszoną, bo ręce jej drżały, kiedy go rozwiązywała. Na pożółkłej pierwszej stronicy był następujący napis, wykaligrafowany pięknemi literami:

»Pannie Helenie przepisał na pamiątkę Kazimierz Bojnowski«.

Były to różne wiersze patrjotyczne, a gdzie niegdzie znajdowały się przypięte szpilką bukieciki suszonych kwiatów z podpisaną datą.

— Pan Kazimierz! Kazik kochany: — szepnęła panna Helena, przewracając kartki kajecika.

— Bywaj dziewczę zdrowe
Ojczyzna mię woła....

przeczytała i nagle schwycił ją spazmatyczny płacz. Położyła głowę na ręku i cicho płakała. Coś jakby przesunęło się w jej duszy i biegiem czasu stłumione uczucie znowu rozlało się szeroką falą.

Jak wtedy, przed dziesięciu laty, kiedy żegnała swego Kazika, śpieszącego do bratnich szeregów, z których już później nie wrócił, jak kiedy potem oddano jej pierścionek z ostatniem pożegnaniem od poległego w chwale kochanka — tak samo teraz niewypowiedziana tęsknota i ból złamanego serca zlały się w jedno potężne uczucie żalu, że to już nigdy nie wróci. Płakała długo, aż wkońcu podniosła głowę i ze środkowej szufladki wyjęła fotografję Kazimierza Bojnowskiego.

Szczere oczy dzielnego wojaka patrzyły wprost na nią i zdało jej się nagle, że w tych dobrych zwykle oczach — dziś dostrzega jakiś gniew, czy wyrzut. Nie mogąc znieść tego wzroku odwróciła na drugą stronę, ujrzała cienkie, wybladłe litery napisu:

...Kochaj i bądź wierną!...

To, co ją dręczyło dotąd bezwiednie, w jednej chwili stało się jawnem, zrozumiałem — w myśli jej stanął pan Wasyl Buławka.

— Boże! jęknęła głucho, chwytając się za głowę i jednocześnie wobec tych wszystkich ukochanych postaci, które stanęły przed jej oczami jak żywe, coraz bardziej malała i karłowaciała postać pana pomocnika. Wszystkie nauki dziadka i matki i pamięć święta ukochanego naraz obudziły ku sobie cześć bałwochwalczą w jej duszy.

— Chyba po moim trupie... przypomniały się straszne słowa i w tej chwili uczuła w sercu pogardę dla siebie samej i zrozumiała jak ma postąpić. To prawdopodobnie dodało jej energji i wywołało potrzebę skruchy, bo prędkim ruchem sięgnęła ręką do szkatułki, wyjęła zeschniętą zupełnie grudkę ziemi z grobu matki i pocałowawszy ją szepnęła:

— Matko, przebacz mi!

Tymczasem zmrok już zapadł zupełny. Przez otwarte okienko wpływała struga świeżego, letniego powietrza i łagodnych promieni księżyca. Panna Helena siedziała czas jakiś nieruchomo, z rękami splecionemi jak do modlitwy, potem wstała, zapaliła świecę i, wziąwszy arkusz czystego papieru zaczęła pisać list do pana Buławki.

Kiedy wkrótce potem skończyła go i wraz z pierścionkiem włożyła do koperty, dał się słyszeć turkot przed domem i jednocześnie prawie na korytarzu rozległo się wołanie:

— Panno Heleno! proszę do pani!

Panna Helena wstała, machinalnie zdjęła klucze z kołka i po raz pierwszy bez pośpiechu, wolnym, ciężkim krokiem wyszła ze swego pokoju. *Felicja Popławska.*

Z tanich wydawnictw.

(„Biblioteka dzieł wyborowych". Warszawa. Nakład Granowskiego i Sikorskiego).

Zdarzyło mi się niedawno spotkać na prowincji pewnego inteligentnego człowieka, który wyczytawszy wokoło wszystko, co było do czytania, z nudów wziął się do studjowania... wypi ów szkolnych...

Przykłady podobne, których w rozmaitych postaciach możnaby więcej nagromadzić, świadczą o jednej prawdzie, dawno zresztą stwierdzonej, że u nas minęły już czasy, kiedy to trzeba było formalnie poszukiwać czytelników, że coraz to bardziej wzrasta zastęp ludzi, dla których czytanie staje się istotną potrzebą. Równocześnie jednak przekonują one o prawdzie drugiej, że koniecznem jest temu wzrastającemu zastępowi czytających dostarczyć książek...

Dotychczasowe wydawnictwa księgarskie, mimo, iż niejednokrotnie tańsze, niż zagranicą, jak na ubóstwo naszego społeczeństwa, były jeszcze za drogie, a inny środek po za tem, t. j. abonowanie książek w wypożyczalniach, bywał i zbyt uciążliwy, zwłaszcza dla czytelników prowincjonalnych i nie odpowiadał częstokroć celowi, nieraz bowiem miesiącami trzeba było, wobec znacznej liczby abonentów, czekać, nim się dostało odpowiednią książkę.

Rozwiązanie tej dwoistej kwestji daje do pewnego stopnia dopiero wychodząca już rok drugi w Warszawie „Bibljoteka dzieł wyborowych", która za cenę miesięczną 1 zł. 20 ct., równającą się mniej więcej cenie abonamentu w wypożyczalniach, daje 4—5 tomów na miesiąc, z najrozmaitszych dziedzin, to jest więcej, niżli przeciętnie miesięcznie przeczytać się jest w stanie.

Chodziłoby zatem jeszcze o stronę drugą, co najmniej równej wagi, o wewnętrzną wartość Bibljoteki, czyli o dobór jej wydawnictw W tym celu przejrzyjmy kilka ostatnich tomów tego wydawnictwa, a przekonamy się, jak ono stale dąży do udoskonalenia i jak wszechstronnie stara się odpowiedzieć wszelkim duchowym potrzebom czytającego ogółu.

I tak z beletrystyki ostatnimi czasy wyszła w tej „Bibljotece" powieść przedwcześnie zmarłego autora przedostatniej doby naszej literackiej, mianowicie „Półpanek" St. Grudzińskiego, a nadto jeden z celniejszych utworów lwa naszego powieściopisarstwa, „Nad rzekami Babilonu" dwutomowy utwór T. J. Jeża, oprócz tak zajmującej rzeczy, jak „Kamienny człowiek" Jokaja i inne.

Z rymowanej literatury pięknej wydano „Wybór poezji" Włodzimierza Zagórskiego, który pod pseudonimem Chochlika przez długie lata zwiedził różne dziedziny poetyckiej twórczości.

A właśnie zbiorek niniejszy, chociaż nie najkompletniejszy, jest najwszechstronniejszym, obejmuje utwory tego, bądź co bądź nietuzinkowego pisarza z najrozmaitszych stron jego działalności.

I cokolwiekby Zagórskiemu się zarzuciło, choćby się go zaliczyło nie do talentów samodzielnych, ale raczej do naśladowczych, które odbrzmiewają z dziwną łatwością dźwiękiem cudzego stroju, chociaż można powiedzieć, że jego poezje o filozoficznym zakroju, z wyjątkiem może fragmentu „Salomon" zbytnio na słowach tylko polegają, zaś w humorystycznych Zagórski zanadto pozostaje pod niewolniczym wpływem innych, zwłaszcza mało u nas znanego niemieckiego poety Scheffla, tak że nieco mniej skrupulatnie pomiędzy „oryginalne" policzył swe poezje, które, jak n. p. słynna „Hi-

storja patrjarchy Noego" zaledwo pomiędzy „naśladownictwa" dostaćby się powinny — owóż pomimo tych wszystkich „chromań" trudno mu odmówić dwóch rzeczy: że ma formę śliczną i że umie do tego stopnia nie być banalnym, iż większość jego utworów, nawet po latach wielu nie traci świeżości, mimo, że częstokroć wrażenia i wypadki chwili je tworzyły.

I trudno naprzykład oprzeć się rzewnemu nastrojowi, kiedy w „Nocturnie" opisuje, jak wieczorem z dźwiękiem fujarki...

...Lecą pieśni, lecą chyże
Hen w daleki świat;
Pod cmentarne lecą krzyże,
Pod okienka chat,
Pod mogiły zapomniane
Przypadają rozełkane,
I kołacząc nutą rzewną
W okien szyby, w krzyżów drewno,
Biorą na swych skrzydeł loty
Wszystek ziemski żal,
Wszystkie bole i tęsknoty
I unoszą w dal!...

Takiego poetę i przyjemnie i zdrowo jest przeczytać...

W. Dbr.

(Dok. nast.)

Z pism i książek.

— *Hugo Zapałowicz. Jedna z podróży naokoło ziemi.* Lwów 1899. 2 Tomy.

Barwnie, zajmująco i inteligentnie skreślony opis podróży pana Zapałowicza zasługuje na uwagę tembardziej, że piśmiennictwo nasze nie obfituje w dzieła podobnej treści. Autor ma właściwy sobie pociągający sposób opisywania, który polega na tem, że przed oczyma czytelnika nie przesuwają się same tylko obrazy, wabiąc wie nie oddanym kolorytem, ale że obrazom tym nie zbywa na pewnym podkładzie ideowym.

„Po raz pierwszy od opuszczenia Europy — mówi autor, opisując pierwsze wrażenia swe w Japonji — oglądałem tu państwo nie europejskie, a więc według utartych u nas pojęć barbarzyńskie, które jednak już od pierwszego wejrzenia imponowało swą odrębną i wysoką kulturą. Ta przemawiała zewsząd — z każdego człowieka, przedmiotu i kawałka ziemi. Geograficzne położenie, korzystne warunki klimatu, gleby i wodnej sieci i już od wieków wysoko rozwinięte stosunki socjalno-ekonomiczne, uczyniły z tego świata wysp japońskich — królowe wód wschodnio-azjatyckich, — uczynią ją Anglją Azji.

Już pierwszego dnia, krocząc przez ulice miasta (Jokahamy) doznawałem tak licznych a tak nowych wrażeń, że nie wychodziłem z podziwu nad genjuszem japońskiego narodu, przemawiających zewsząd — z tych małych domów o cienkich drewnianych ścianach, oknach wylepianych zamiast szyb białym papierem i świecących czystością, jak drewniane pudełka na kosztowne dam kapelusze; z tych domów, otwartych jak stojące w ulicy małe teatrzyki, urządzonych wewnątrz z nadzwyczajną skromnością, bez łóżek — bo pościel chowają z rana w otwory umieszczone w ścianach, i bez stołków, bo wszystko się robi na podłodze, wyścielanej ryżową rogóżką tak delikatnej roboty i czystości, jak obrus, skutkiem czego każdy japończyk, a za jego przykładem i gość europejski, pozostawia obuwie na progu domu; przemawiających z tych starannie utrzymanych ogrodów, niekiedy ze sztucznemi skarłowaciałymi drzewami, a które choćby w miniaturze stara się mieć i najbiedniejszy japończyk. — Duch tego narodu przemawiał z twarzy kobiet i mężczyzn, ubranych w długie, przeważnie jedwabne, pasem objęte szaty, ludzi pracowitych jak mrówki, czystych we dnie robocze, jak w największe święto, wiecznie pogodnych, grzecznych i uśmiechniętych; przemawiał z ich zamiłowania w kwiatach, drzewach, wysoko rozwiniętem ogrodnictwie, wodotryskach, wodospadach, sztucznych jeziorach z pysznemi rybami i z tego ich zamiłowania do teatralnych widowisk, uroczystości ludowych i wielkiego święta kwiatów — symbolicznego Chryzantemu.

Nieraz — pytałem się — skąd bierze się ten ład, ta łatwość życia i funkcjonowania całego tego wielkiego narodowego organizmu, ta pogoda umysłów, to zamiłowanie i wysokie, choć zupełnie oryginalne poczucie piękna. Oto chyba stąd, że w tym szczęśliwym, oddzielonym od reszty świata, wyspiarskim kraju postępował naród przez długie wieki na drodze swobodnego rozwoju i dosięgnął wysokiego stopnia cywilizacji, zachowując mimo dojrzałych lat całą swą pierwotną, pogodną i naiwną naturę młodości. Wysoka i bardzo oryginalna cywilizacja, wsparta na głębokiem zamiłowaniu przyrody i piękna, konserwujące naiwne i pogodne pojmowanie życia, jest, zdaje się, znamienną cechą Japonji — która liczy 40 miljonów mieszkańców".

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.